



Dwudziestolecie ustanowienia Diecezji Grodzieńskiej jest dobrą okazją, aby wspomnieć, jakim był Kościół Katolicki na Grodzieńszczyźnie w tamtych czasach.

W porównaniu z innymi regionami Białorusi Kościół na Grodzieńszczyźnie był w znacznie lepszej sytuacji, wiara ludzi też była mocniejsza i bardziej stała. Zaważyło przede wszystkim to, że okres prześladowań był krótszy, było więcej otwartych kościołów i pracowało więcej księży. Pomagało bliskie sąsiedztwo Litwy, dokąd wierni bardzo często jeździli na nabożeństwa. Bardzo pożyteczne były też kontakty z Polską.

Chociaż jednocześnie trzeba podkreślić, iż czas prześladowań zrobił swoje. Nie było stałej i systematycznej katechizacji. Niedostateczna ilość czynnych kościołów, brak kapłanów i osób życia konsekrowanego, a także literatury i prasy religijnej negatywnie wpływały na jakość życia religijnego. W wyniku czego było to przede wszystkim masowe tradycyjne chrześcijaństwo, które odegrało bardzo ważną rolę w zachowaniu wiary i jej przekazaniu młodszemu pokoleniu na prostym pacierzu, różańcu, litaniach, nauczaniu prawd wiary przez starszych i oczywiście dzięki rodzinom, które były domowymi kościołami.

Tradycyjna, ale jednocześnie mocna wiara pomnożona na świadectwo trwania w niej stały się dobrym fundamentem dla duchowego odrodzenia. †

Stefan, Grodno.

Przyjechałem do Grodna w 1950 r. Uczyłem się grać na organach. Musiałem pracować, bo ojciec nie miał pieniędzy, aby opłacać moją naukę. Pracowałem na budowie klasztoru Pobrygidzkiego. Pracowałem tam dwa lata. Mieszkalem u inżyniera budowlanego. Wieczorem, po pracy na budowie, przez rok pracowałem w Farze, malowałem tam floresy w kopule. Potem pracowałem w kościele Pobernardyńskim, mieszkalem u organisty. Pracował tam ks. Kuryłowicz (zm. w 1954 r.). Potem proboszczem w tym kościele został ks. Michał Aronowicz. W kościele Pobernardyńskim pracowałem przez 5 lat. Pomagałem, modliłem się, uczestniczyłem w nabożeństwach Drogi Krzyżowej, Różańcu, śpiewałem. Za swoją wiarę byłem prześladowany. Zmuszano mnie, bym nie chodził do kościoła i nie śpiewał, bo to negatywnie wpływa na pracowników. Siostry nazaretanki wypędzono z domu księdza, w którym mieszkaly, dlatego zamieszkały przy kościele Pobernardyńskim. Było ich siedem, działały potajemnie.

Przyszły lata osiemdziesiąte.

Kościół Pobrygidzki został zamknięty, był zdewastowany i obdarty. W 1989 r. siostry nazaretanki, ks. Aronowicz i wierni postanowili, że trzeba prosić władze o oddanie kościoła.

Władze robiły w nim remont, ale bardzo powoli. Nic tam się nie zmieniało. Chodziliśmy do różnych urzędów z prośbą o oddanie kościoła. Wszędzie nam odmawiano. Jeździliśmy do Mińska, potem do Moskwy. W jednej z moskiewskich gazet pisano, że redakcja pomaga wiernym odzyskiwać kościoły. Pojechałem do redaktora tej gazety, jednak on odmówił mi pomocy. Powiedział, że kierownictwo kazało mu umieścić ten materiał w gazecie, aby zwiększyć prenumeratę. Zapytałem go, czy wie, kto mógłby nam pomóc w odzyskaniu kościoła. Redaktor opowiedział o pewnej kobiecie. Pojechałem do niej. Ona kazała mi iść do swego kierownika. Jego pokój był ciemny, lampka paliła się tylko nad biurkiem. Wyszedł pod drzwi i usiadł przy stole. Mnie usiąść nie zaproponował. Stałem podczas 1,5 godzinnej rozmowy. "Czego chcecie?" - zapytał. Opowiedziałem mu o kościele, o tym, że wierni chcą go odzyskać. Na co kierownik: "Wy sprzedajecie świece i palmy, śpiewacie, wzbogacie się. Nie dostaniecie kościoła". Powiedział, że nie oddadzą nam tego kościoła, bo zaplanowano urządzić w nim salę koncertową z organami. Powiedziałem, że domówimy się: koncert będzie o 17.00, a Msza św. o 18.00. Nie chciał o tym słyszeć. Z Moskwy wróciłem z niczym. O tym wszystkim opowiedziałem księdzu i siostrze. Zaczęliśmy chodzić do miejscowych władz. Odmawiali nam raz za razem.

Pewnego razu przez Grodno wieźli figurę Matki Bożej Fatimskiej. Poprosiliśmy, aby pielgrzymi zatrzymali się przy kościele na modlitwę. Od tego momentu wierni zaczęli się gromadzić w Urzędzie Miejskim i Wojewódzkim z różańcem w ręku. Modlili się niegłośno, aby zbytnio nie przeszkadzać. Urzędnicy szli i pluli na nas, mówili, że przeszkadzamy im pracować. "Oddajcie nam kościół" – odpowiadaliśmy. Tak chodziliśmy przez 2-3 tygodnie. Było nas od 40 do 150 osób.

Do Urzędu Wojewódzkiego chodziliśmy we trójkę albo w czwórkę, ponieważ tam trzeba było podawać swoje nazwiska. Mieliśmy się spotkać z przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Wykonawczego. Sekretarka nie chciała nas wpuścić. Czekaaliśmy na niego przez cały dzień, mimo wszystko nie wpuszczono nas do gabinetu. Wtedy zaczekaliśmy na korytarzu i tam udało się nam porozmawiać z tym kierownikiem. Niestety, kościół nam nie zwrócono.

Po pewnym czasie nasza nieustanna modlitwa i dyżury zrobiły swoje: powiedziano nam, że kościół oddadzą. Kiedy zgromadziliśmy się przed kościołem, a było nas około 40 osób, powiedziano nam, żeby weszło tylko kilka osób, bo będzie dużo hałasu.

Ale kiedy drzwi świątyni się otworzyły, weszliśmy tam wszyscy. I staliśmy w ciszy. W tej ciszy komisja przekazała nam dokumenty na kościół. Potem, podczas sporządzania protokołu odbioru, poprosiłem urzędników o wpisanie życzeń do albumu. Nie chcieli tego robić, najpierw odmawiali, ale w końcu wpisali.

Po odzyskaniu świątyni wyremontowaliśmy zakrystię i zrobiliśmy tam kapliczkę, w której codziennie odprawiano Mszę Świętą. Brakowało miejsca, dlatego wierni stali na ulicy. W 1992 roku kościół został wyremontowany. Ks. Michał Aronowicz uroczyście przeniósł Przenajświętszy Sakrament z kościoła Pobernardyńskiego. Wierni wypełnili całą ulicę Mołodzioznaja.

Przez pewien czas pracowałem w Farze. Pomagałem uporządkowywać kościół. Ks. Michał Aronowicz najpierw dostał pozwolenie na odprawianie Mszy św. na Wielkanoc, potem raz na kwartał, wreszcie - co miesiąc. Dostałem pozwolenie na udzielanie Komunii Świętej, ponieważ ks. Michał odprawiał Mszę św. także w kościele Pobernardyńskim. W maju i czerwcu zawsze byłem w Farze, ponieważ rozpoczynałem Litanię. Miałem dobry, mocny głos, a ponieważ nagłośnienia wtedy nie było, organista zawsze czekał, aż ja zacznę.

Pani Genowefa z Grodna

W latach sowieckich były czynne kościoły w Sopoćkiniach, Adamowiczach i Łabnie. W latach

50. kościół w Perstuniu był zamknięty, ale wierni nie oddali władzom kluczy od niego, trzymali je u siebie. Kiedy ktoś umierał, trumnę zanosili do kościoła. Na przełomie lat 80. i 90. kościół zwrócono wiernym. Świątynia wymagała remontu, więc go przeprowadzono. W sierpniu 1990 r. przy licznych zgromadzeniu wiernych kościół został uroczyście otwarty. Byłam tam w tym dniu i widziałam rzesze wiernych. W latach 90. mieliśmy więcej wolności, do kościoła zaczęły chodzić dzieci. Człowiek powinien być mocnej wiary, bo inaczej będzie to miało zły wpływ na jego przyszłość. Teraz rodzice to nawet niemowlęta niosą do kościoła.

Pani Fryderyka z Grodna

W czasach radzieckich mieszkalam w Karolinie, później w Łosośnie. Zbieraliśmy się na wspólną modlitwę w wielkim, ładnym domu. Dla gospodarza był to zaszczyt, jeżeli jego dom wybierano do modlitwy. Modliły się przeważnie kobiety i dziewczyny. Mężczyźni, niestety, mieli inne sprawy. Na Mszę św. do kościoła oo. Franciszkanów chodziłam 10 kilometrów na piechotę. Ludzie zbierali się razem i szli. Przed Mszą św. odmawiano różaniec, śpiewano litanie. W kościele oo. Franciszkanów Msza św. była odprawiana rano i wieczorem. Pamiętam ks. Józefa, który przez długie lata był tam proboszczem. Władze przeszkadzały mu w pracy. Pod karą pozbawienia prawa do działalności duszpasterskiej zabroniono mu wpuszczać do kościoła dzieci. Mimo wszystko, ks. Józef chrzczył dzieci, błogosławił młode małżeństwa, spowiadał – podtrzymywał płomyk wiary w naszych sercach. Moi synowie potajemnie brali ślub i chrzcili dzieci.

Pani Nelli z Grodna

W czasach sowieckich moja mamusia nie bała się chodzić w pielgrzymkę do Wilna, do Matki Bożej Ostrobramskiej. Chodziła co roku. Miała pierścionek z wizerunkiem Matki Bożej, który zawsze nosiła na palcu. Z nim był związany pewien cud. Otóż byłam ciężko chora, dostałam wylewu i leżałam w szpitalu w bardzo ciężkim stanie. Nie miałam nadziei, że lekarze mi pomogą, ale wierzyłam, że jeśli do mnie przyjedzie mama z tym pierścionkiem, to wyzdrowieję. Ona przyjechała. Przytuliłam jej rękę do serca i otworzyłam oczy. Były całe zalane krwią, nie mogłam ich otworzyć od miesiąca, a w tym momencie ból mnie opuścił. Przez 15 minut go nie czułam, później znowu powrócił. Ale od tej chwili zaczęłam dochodzić do zdrowia. Lekarze nie wiedzieli, co się ze mną stało. Pytali, kto do mnie przychodził. Odpowiedziałam, że była to Matka Boża.

W 1989 r. pomagałam odzyskać kościół Pobrygidzki, a kiedy go zwrócono wiernym, przekazywałam na jego odbudowę, co mogłam. Ustawione na kościele krzyże zostały kupione za przekazane przeze mnie pieniądze. Modliłam się także w kościele farnym, pomagałam utrzymywać w nim porządek.